

ps. „Fajolrek”

Wspomnienie Andrzeja Zielińskiego o jego działalności w Ruchu Oporu podczas okupacji niemieckiej i dalszych losach

Urodziłem się w Warszawie dn. 06.09.1927 r. jako drugi syn Stanisława i Ireny (z domu Skupieńskiej), w rodzinie o bardzo silnie zaznaczonych tradycjach patriotycznych związanych szczególnie z osobą marsz. J. Piłsudskiego. Ojciec jeszcze jako student wyższej szkoły technicznej im. Wawelberga przerwał naukę i w r. 1919 zgłosił się na ochotnika do Armii Polskiej. Matka pochodząca z rodziny ziemiańskiej, po studiach nauczycielskich, krzewiła początkowo naukę (w tym pisanie i czytanie ludzi dorosłych) w regionach wiejskich uznając to za misję.

Do 1939 r. mieszkając w Warszawie ukończyłem 6 klas szkoły powszechnej z zamiarem dalszego kontynuowania nauki w gimnazjum.

W kilka dni po wybuchu wojny, podczas oblężenia Warszawy, mieszkanie nasze mieszczące się na Ochocie przy ul. Grójeckiej 42a zostało całkowicie zniszczone pociskiem artyleryjskim. Straciliśmy dosłownie wszystko i zamieszkaliśmy w pobliżu przy ul. Glogera 6. (róg Mochnackiego).

Podczas okupacji niemieckiej początkowo kontynuowałem dalszą naukę j na tajnych kompletach. Po ich zlikwidowaniu w 1941 r. rozpocząłem pracę jako uczeń rzemiosła metalowego w Zakładach Lilpop, Rau, Loewenstein uczęszczając jednocześnie do przyzakładowej szkoły rzemieślniczej. W 1943 r. ukończyłem tę szkołę uzyskując dyplom czeladniczy w zawodzie tokarza metalowego i rozpocząłem pracę jako tokarz w Zakładach Fahrzeugbaugesellschaft m.b.H. (tak przemianowano Zakłady Lilpopa). Jednocześnie uczęszczałem do Szkoły Budowy Maszyn o programie szkół Mech. II stopnia (zorganizowanej przy tych Zakładach przez polski personel). Do chwili wybuchu powstania tj. do 08.1944 r. ukończyłem pierwszy kurs wspomnianej Szkoły Budowy Maszyn i przepracowałem w Zakładach Fahrzeugbaugesellschaft m. b. H. łącznie 3 lata.

Już w pierwszych latach okupacji ojciec mój inż. Stanisław Zieliński (pracownik Fabryki Parowozów Zakładów Ostrowieckich w Warszawie) związał się z działalnością konspiracyjną, a następnie z AK. Oczywiście ani ja ani mój starszy brat nic o tym do dnia powstania nie wiedzieliśmy. Brat mój (o czym też nie byłem poinformowany) od stycznia 1944 należał do 126 plutonu V Zgrupowania AK w Warszawie.

W kwietniu 1943 r. nie mając jeszcze ukończonych 16-tu lat zgłosiłem się (bez wiedzy rodziców) do brata mojej matki J. Skupieńskiego (przedwojennego zawodowego oficera, który jak się domyślałem działa w AK) z prośbą o skierowanie mnie do pracy w konspiracji.

J. Skupieński, (który jak się później okazało był z-cą Dowódcy Saperów Okręgu Warszawskiego AK, w stopniu kapitana o ps. „Jotes”) oświadczył mi, że ze względu na młody wiek nie może mnie skierować do jednostki bojowej i przydzielił mnie w charakterze łącznika swemu podwładnemu por. Stanisławowi Gašiorowskiemu ps. „Staszek”. Zadanie łącznika polegało na przekazywaniu pod wskazane adresy ustnych poleceń i

rozkazów por. „Staszka” oraz wielokrotnie przenoszeniu i przekazywaniu materiałów związanych z konspiracyjną działalnością dowództwa kompanii saperów AK zgrupowania Wola. Czasem były to niewielkie paczki mieszczące się w teczce. Jedną z akcji utkwiła mi szczególnie w pamięci. Na kilka dni przed wybuchem powstania w dniu 27.07.1944 otrzymałem polecenie przekazania rozkazu por. „Staszka” natychmiastowego przetransportowania broni z zakonspirowanego składu mieszczącego się w okolicy pl. Szembeka (ul. Chłopickiego) do Śródmieścia (okolice ul. Towarowej). Broń tą wyznaczony żołnierz AK przewoził rikszą, która miała uzbrojoną „obstawę” pieszą. Trasa przejazdu wiodła m. inn. ul. Waszyngtona, mostem Poniatowskiego, co było szczególnie niebezpieczne z uwagi na posterunki niemieckie na moście. Moim zadaniem była obserwacja transportu na całej drodze przejazdu i po dotarciu na miejsce przeznaczenia zawiadomienie por. „Staszka” o wykonaniu zadania. Zadanie zostało wykonane pomyślnie.

koncentracja

Na dzień przed wybuchem powstania zostałem wyznaczony jako łącznik por. „Staszka” do stawienia się w dniu 1 sierpnia (wtorek) o godz. 16-tej na Woli w mieszkaniu przy ul. Prądyńskiego 15. Po przybyciu na wyznaczone miejsce zastałem tam już por. „Staszka”, kilku nie znanych mi do tej pory ludzi (żołnierzy AK) oraz ku memu zdumieniu wśród tych żołnierzy był ppor. Józef Zieliński, stryjeczny brat mego ojca. Okazało się, że miejscem zbiórki było mieszkanie służbowe J. Zielińskiego (pracownika Gazowni Miejskiej), którego strych został zamieniony na małą zbrojownię. Niestety było tam tylko parę karabinów (chyba trzy), parę pistoletów i kilka ręcznych granatów (produkcji ruchu oporu). Lokal był punktem wypadowym do mającej nastąpić akcji oddziału. Niektórzy z przybyłych żołnierzy zostali wyposażeni w znajdującą się broń. Niestety nie dla wszystkich broni wystarczyło. Por. „Staszek” pocieszał nas, że za kilkanaście minut zostanie dostarczona broń, ponieważ przed godz. 17-tą ma podjechać pod dom riksza z dostawą broni. Do godz. 17-tej nie nastąpiła wspomniana dostawa broni. Mimo to por. „Staszek” zarządził rozpoczęcie akcji punktualnie o godz. 17-tej. Mnie jako najmłodszemu z obecnych na razie przydzielono jeden granat ręczny z zadaniem pozostania w lokalu i oczekiwania na dyspozycje por. „Staszka”. Pierwszym celem akcji (który znał tylko por. Staszek i jego z-ca) było zlikwidowanie warty niemieckiej w przędzalni „Wola” przy ul Bema, zdobycie broni i pozostanie na tym posterunku do momentu nawiązania kontaktu z innymi oddziałami AK. Wszyscy założyli biało-czerwone opaski z literami AK i z wyjątkiem mnie udali się na akcję. Akcja zakończyła się dramatycznym niepowodzeniem. W pierwszych minutach ataku zginął dowódca por. Staszek i jego z-ca Z. Chiczewski (podczas rzutu granatem przez por. Staszka, doszło do jego przedwczesnego wybuchu, granat był prawdopodobnie niesprawny). Niemcy atak odparli. Ja oczekując w mieszkaniu przy ul. Prądyńskiego nie znałem rozwoju sytuacji. Po ok. godzinnym oczekiwaniu otrzymałem od jednego z uczestników ataku wiadomość o śmierci por. „Staszka” i jego z-cy oraz, że grupa została rozproszona. [Pozostali atakujący w tym ppor. J. Zieliński zdołali przedostać się na teren gazowni, gdzie wciągnięto ich na listę pracowników i tam pozostali, a potem razem z załogą gazowni zostali w dn. 25.09.44. ewakuowani do obozu w Pruszkowie – o czym dowiedziałem się już po wojnie od J. Zielińskiego].

*powinno
oficjalnie
niekiedy
oczekiwano
na broń
która miała
być dostarczona
wksze.*

*Nie miałem
żadności z*

W sytuacji gdy zostałem sam, ze świadomością, że grupa została rozproszona, postanowiłem nocą przedostać się na Ochotę do mieszkania rodziców gdzie pozostała samotnie moja matka. Tu muszę dodać, że tuż przed wybuchem powstania (które wg. nas miało trwać kilka dni) zdając sobie sprawę z tego, że z dniem jago wybuchu mój ociec, starszy brat i ja (wszyscy

*z innymi Powstańcami, który uszli z szarym
or zgrupowanie powstało tylko - przedostałem się
na Ochotę*

zaangażowani w działalność AK) udając się na wyznaczone miejsca pozostawimy w domu osamotnioną matkę, umówiliśmy się, że ten który pierwszy będzie miał możliwość odwiedzi ją w domu bądź z nią pozostanie.

W nocy 1-go na 2-go sierpnia ok. godz. 23, po przedostaniu się w okolice kolejowego Dworca Zachodniego widziałem wyładowywujące się z wagonów czołgi i liczne zmotoryzowane patrole niemieckie. Po przeczołganiu się przez tory w okolicy tunelu (z którego bałem się skorzystać) i „przeskakując” ul. Szczęśliwicką w ciemności dotarłem na ul. Kopińską. [Ze źródeł historycznych wiadomo, że trzy lub cztery godziny później ul. Szczęśliwicką ewakuowały się w kierunku lasów Sękocińskich oddziały powstańcze w liczbie ok. 500 żołnierzy po klęsce jaką ponieśli w ataku na Dom Akademicki i inne objekty Ochoty] Ponieważ padał deszcz i krążyło wiele zmotoryzowanych patroli schroniłem się w piwnicy domu na rogu ul. Kopińskiej i Grójeckiej. Spotkałem tam kilka zabłąkanych osób, które mówiły, że poprzedniego dnia do zmroku trwały tu zacięte walki.

Wczesnym rankiem kiedy było jeszcze ciemno „przeskoczyłem” ul Grójecką i pobiegłem wzdłuż ul. Mochneckiego do Glogera. Trzeba dodać, że ul. Mochneckiego biegła wzdłuż muru okalającego przedwojenny Dom Akademicki im. G. Narutowicza, który podczas okupacji zamieniono na koszary policji niemieckiej. Ponieważ dom na rogu ul. Grójeckiej i Mochneckiego obsadzony był przez powstańców więc ulice te były pod ciągłym ostrzałem. Mimo to, mając dużo szczęścia udało mi się dotrzeć na róg Mochneckiego i Glogera gdzie stał dom w którym mieszkała moja matka. Główne drzwi wejściowe były zamknięte, przed nimi duża kałuża krwi, domyśliłem się, że do kogoś tu już strzelano (okazało się, że poprzedniego dnia były tu intensywne lecz bezskuteczne walki o zdobycie Akademika). Po kilku minutach dobijania się otworzono drzwi i za chwilę byłem w domu z uszczęśliwioną z tego powodu matką, była godz. ok. 5-tej dn. 2.08.

Ul. Glogera była otoczona zarówno przez Niemców jak i przez reduty powstańcze (patrz mapka na str. 4).

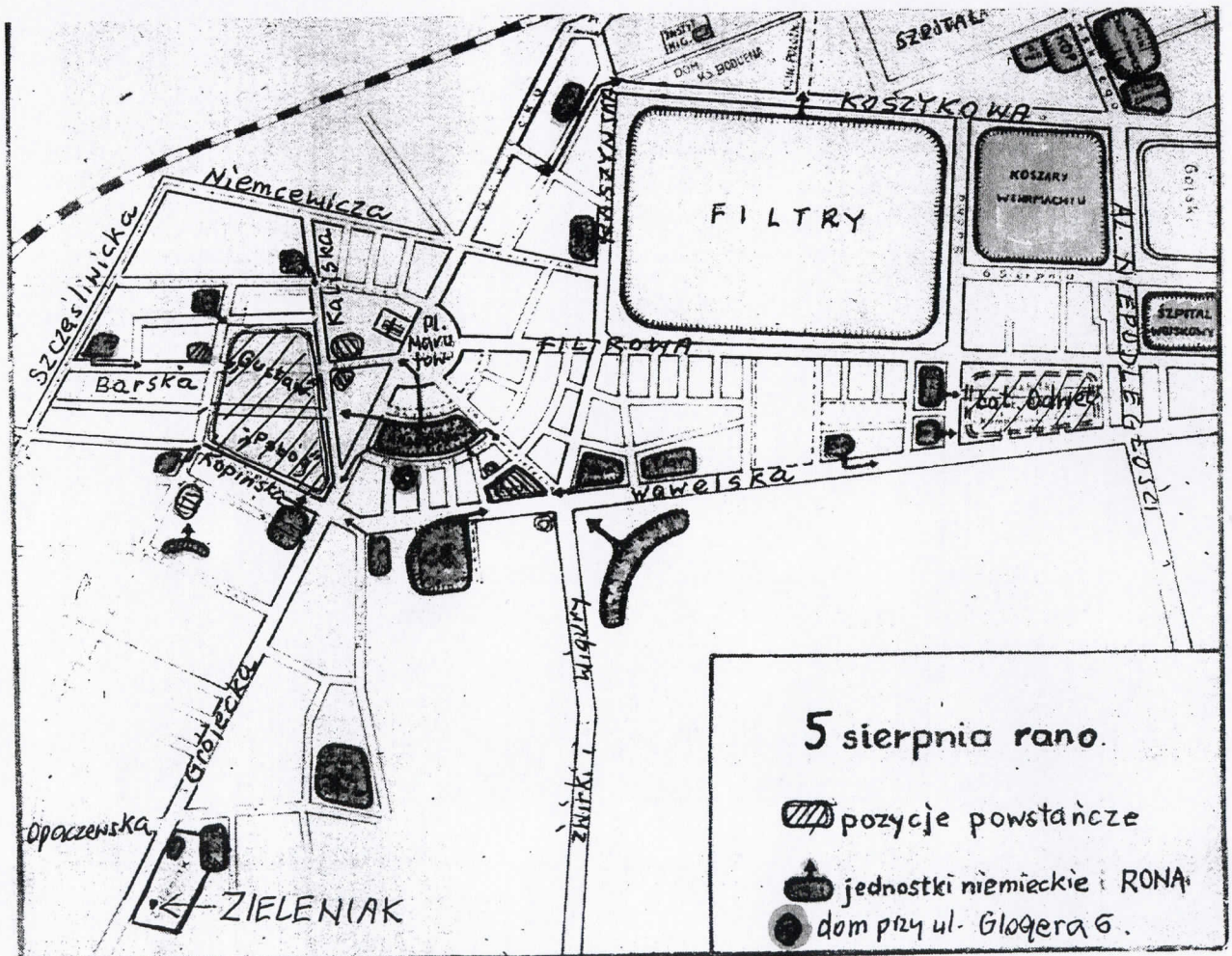
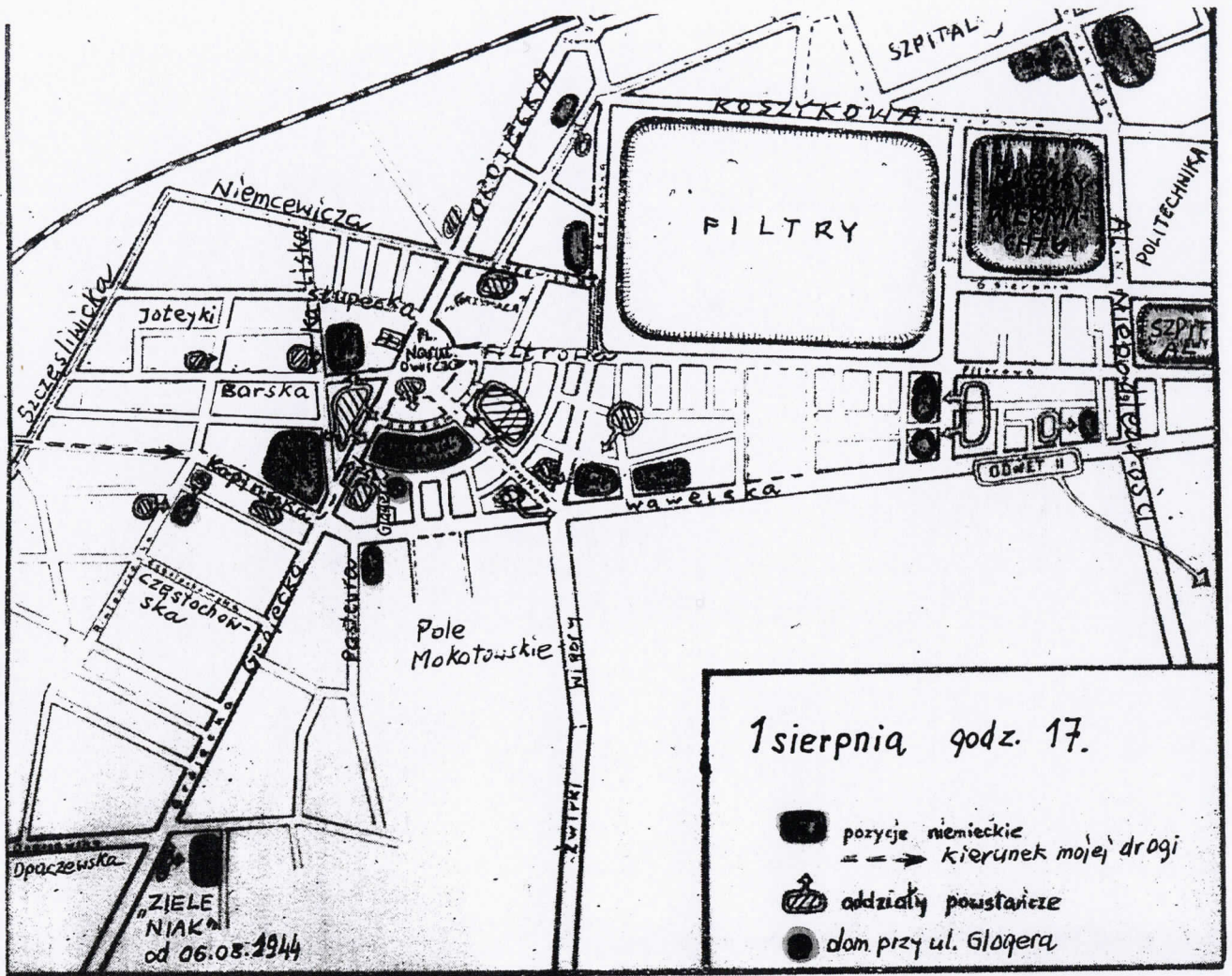
Z jednej strony : koszary policji w „Akademiku”, na Kaliskiej Monopol Tytoniowy, od strony ul. Wawelskiej i Pasteura szpital wojskowy, a na rogu Wawelskiej i Żwirki i Wigury silne pozycje niemieckie.

Z drugiej strony : reduty powstańcze przy ul. Barskiej, Grójeckiej, Wawelskiej, Uniwersyteckiej. Znajdowaliśmy się w obrębie intensywnych walk.

Z okna mieszkania obserwowałem w ciągu najbliższych dni tj. do 5.08 walki powstańców m. inn. ostrzał z dział czołgowych wieży kościoła św. Jakuba przy pl. Narutowicza gdzie była placówka powstańcza. Z upływem dni wszyscy mieszkańcy naszego domu zdawali sobie sprawę, że powstanie na naszym terenie nie ma szans powodzenia, a nasze losy trudno przewidzieć.

O świcie 4.08 wchodzą na Ochotę od strony Okęcia oddziały kolaborujące z Niemcami brygady SS RONA (tj. Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armija dowodzona przez gen. SS M. Kamińskiego) odznaczające się niespotykanym okrucieństwem i bestialstwem. W ciągu kilku godzin część Ochoty od strony ul. Opaczewskiej, w której nie było prawie wcale działań powstańczych zamienia się w piekło. Żołdacy z RONA wpadają do domów i dosłownie wykopują mieszkańców na ulicę. Kto stary, chory lub nie chce odejść od swego domu, otrzymuje powalający cios kolbą, a potem zostaje zastrzelony.

W wyniku bardzo zaciętych walk toczonych między 1 i 5.08 większość pozycji powstańczych w obrębie pl. Narutowicza przestała istnieć. Większość powstańców z komendantem Ochoty ppłk „Grzymałą” (M. Sokołowski) opuściła



Ochotę w nocy z dn. 1 na 2.08 udając się w kierunku lasów chojnowskich po drodze staczając krwawą, przegraną bitwę pod Pęcicami.

W dniu 5.08 po stronie powstańców były tylko: silna reduta w rejonie ul. Kaliskiej dowodzona przez por. „Gustawa” - Andrzeja Chyczewskiego oraz reduta Wawelska, patrz mapka na str. 4. (Żołnierze Reduty Kaliskiej po niezwykle zaciętych walkach opuszczają Ochotę wycofując się w nocy z 9 na 10.08. także przez Pęcice w kierunku lasów chojnowskich gdzie łączą się ze zgrupowaniem ppłk „Grzymały” i powracają po kilku dniach do Warszawy od strony Wilanowa. Niedobitki z Reduty Wawelskiej pod dowództwem ppor. „Rarańczy” – J. Modro, w dn. 11.08. ewakuują się kanałami w rejon al. Niepodległości i tam łączą się z żołnierzami Śródmieścia).

Dnia 5.08. rankiem żołdacy z RONA nie napotykając oporu wtargnęli do naszego domu przy ul. Glogera 6. Dozorca, który zbyt wolno otwierał drzwi został od razu zastrzelony, zastrzeleni zostali także niesprawni mieszkańcy, którzy nie mogli szybko poruszać się o własnych siłach. 16-to letna córka dozorca widząc śmierć ojca schroniła się do kotłowni, znaleźli ją tam, zgwałcili i zastrzelili. A w pustych mieszkaniach trwała dzika bezładna grabież. Najcenniejsza zdobycz to zegarek, a przede wszystkim wódka. Nasza dwudziestokilkuletna służąca Andzia, wyrzucona razem z nami na ulicę próbowała wrócić po jakąś zapomnianą rzecz, jak nam potem opowiedzieli naoczni świadkowie, została zgwałcona i zastrzelona.

Ponieważ gęstniała rzesza wyrzucanych ludzi, ronowcy spędzają wszystkich na istniejące kilkuhektarowe, ogrodzone wysokim murem targowisko warzywne zwane „Zieleniakiem”, położone w pobliżu skrzyżowania ul. Opaczewskiej z Grójecką. Dzień był bardzo ciepły, wyrzuceni z domów ludzie mają na sobie letnią odzież, a w rękach cieplejsze okrycia, z których nas ograbiono przy bramie wejściowej na Zieleniak. Pod wieczór, kiedy jest już chłodno, na Zieleniak koczuje już kilkanaście tysięcy ludzi zziębniętych, głodnych, spragnionych i otępiałych po strasznych przeżyciach. Ronowcy szukają kobiet, gwałcą na oczach ludzi, często gwałt kończy się strzałem kończącym życie wyjącej, gwałconej kobiety. Pragnienie i głód przerzedzają rzeszę ludzi. Pod ogrodzeniem rośnie sterta zwłok.

Na Zieleniak przebywałem z mamą przez trzy i pół doby w skrajnie dramatycznych warunkach.

W dniu 9.08 rankiem zabraliśmy się z mamą pierwszym transportem pieszym ledwo trzymających się na nogach ludzi na Dworzec Zachodni. Stąd przewieziono nas wagonami do Pruszkowa do Warsztatów Kolejowych zamienionych na obóz przejściowy pilnowany na szczęście przez załogę niemiecką, a nie żołdaków RONA. Jakież kobiety z opaskami czerwonego krzyża rozdawały prowiant i wodę, potem zapędzono nas do wielkiej hali fabrycznej gdzie koczowaliśmy. Wieczorem zrobił się ruch. Niemcy dokonywali selekcji ludzi do wywózki w nieznanym kierunku. Ja byłem kompletnie załamany. Mama przejęła inicjatywę i podjęła decyzję jak najszybszego wydostania się stąd. Mimo selekcji na kobiety i mężczyzn udało nam się razem wepchnąć do zatłoczonego, bydlęcego wagonu kolejowego przygotowanego do odjazdu. Było już całkiem ciemno kiedy pociąg ruszył w nieznanym kierunku. Sądziliśmy, że jesteśmy wywożeni do jakiegoś obozu na terenie Niemiec. Po pewnym długim czasie pociąg zatrzymał się. Staliśmy na stacji Skierniewice. Pilnujący żołnierze rozsuwali drzwi wagonów i z ekipą sanitarną wyławiali ludzi chorych na t.zw. „krwawą dezynterję” (czyli czerwonkę) bojąc się prawdopodobnie epidemii. Kilka osób zgłosiło tą chorobę, którą rozpoznawano po zakrwawionej bieliznie. Ani mama ani ja nie chorowaliśmy, jednak mama

wyskoczyła z wagonu na peron pociągając mnie za sobą. Podeszli do nas jak się okazało polscy sanitariusze z czerwonego krzyża, spryskali naszą bieliznę czymś czerwonym i zgłosili Niemcom konieczność wyłączenia nas z transportu. W tym momencie mamie zabrakło sił, nie wytrzymała napięcia i zemdląła. Ja też ledwo trzymałem się na nogach. Ekipa czerwonego krzyża wyniosła nas na noszach przez kordon pilnujących żołnierzy na teren stacji otoczonej przez wojsko. W międzyczasie mama ocknęła się, a ja poczułem przyływ sił prosząc sanitariuszy by nas gdzieś schowali i nie przekazywali Niemcom. Ukryli nas w bufecie dworcowym za kontuarem. Czekaliśmy tam skuleni. Bardzo rano, było jeszcze ciemno, jakiś człowiek wyprowadził nas bocznym wyjściem na zewnątrz budynku. Stał tam wóz z konnym zaprzęgiem powożony przez żołnierza niemieckiego (szeregowca). Kazał nam wejść na wóz przykryć się słomą co zrobiliśmy i zostaliśmy wywiezieni przez tego Niemca poza miasto Skierniewice na pustą wiejską drogę. Tam kazał nam zejść z wozu i puścił nas wolno. Zapytałem dla czego to robi. Opowiedział, że był oficerem w armii Romla w Afryce, gdzie odmówił wstąpienia do SS, został za to zdegradowany do stopnia szeregowca i wysłany na wschodni front. Walczy jak mu sumienie nakazuje.

Pamiętam, że był słoneczny ranek dnia 10 sierpnia 1944 r. Byliśmy oddaleni ok. 17 km od miejscowości Łyszkowice, gdzie mieszkała matka mego ojca oraz jego siostra z mężem i trojgiem dzieci (13, 11 i 3 letnie). Udaliśmy się tam. Kiedy szliśmy bardzo powoli w ciszy i sielskim, wiejskim krajobrazie, który nas otaczał nie mogliśmy pojąć, że tak niedaleko siebie mogą być dwa światy tak krańcowo różne. Tu się nic nie działo, krowy pasły się spokojnie na łąkach, kaczki i gęsi chodziły wzdłuż drogi, a ludzie w spokoju zajmowali się swoimi sprawami. Tam w Warszawie było i wiedzieliśmy, że jest nadal - piekło i ujawnianie najniższych zbrodniczych cech, których nigdy przedtem nie bylibyśmy w stanie przypisać osobom ludzkim. Ten kontrast nas poraził. Ja nie mogłem dojść do siebie psychicznie i widziałem, że moja mama przeżywa to podobnie. Cała nasza rodzina była bardzo religijna, szczególnie mama. Jednak wtedy - czemu dawała wyraz - nie mogła pogodzić się z myślami, że Pan Bóg pozwala by działo się to czego byliśmy świadkami kilkadziesiąt godzin temu. To przeżycie pozostawiło w nas trwałe ślady.

Po południu dobrnęliśmy do pierwszych zabudowań w Łyszkowicach. Ludzie wskazali drogę i za chwilę byliśmy witani ze zdumieniem i radością przez bliską rodzinę. W ciągu kilku tygodni, kiedy trwało jeszcze powstanie w Warszawie, do małego mieszkania mojej babci w Łyszkowicach przybyli dalsi członkowie rodziny i zaprzyjaźnieni ludzie - uciekinierzy z Warszawy. Było bardzo ciasno i bardzo ubogo. Z największą obawą wyczekiwałem z mamą końca powstania i wiadomości o ojcu Stanisławie, bracie Wojtku i bracie mojej mamy Jerzym Skupieńskim, czy żyją i gdzie są. Koniec powstania przyjęliśmy z największym smutkiem ale także z pewną nadzieją na jakieś wiadomości od nich. W pierwszej połowie października jakiś człowiek przyjechał do nas rowerem z wiadomością, że znalazł w okolicy stacji Skierniewice zawiniątko opasane kolorową szmatką, w której był list adresowany na mieszkanie babci w Łyszkowicach. Tym listem była kartka papieru z krótką informacją napisaną przez mego ojca o ile dobrze pamiętam następującej treści :

„Do matki mojej Marii Zielińskiej, jeżeli masz kontakt z Ireną to przekaz jej, że żyję, żyje także Wojtek i Jurek, o Andrzeju nic nie wiemy. Jesteśmy zdrowi, Wojtek i Jurek jadą razem do obozu jenieckiego, ja jadę innym transportem Stach. 5.10.1944.”

Radość była ogromna. Teraz czekaliśmy na pierwsze listy z obozów by wysłać wiadomość, że my też żyjemy i posłać paczkę z żywnością. W końcu październik nadeszły z obozów jenieckich listy, od ojca, brata i brata mamy. Wysłaliśmy wiadomości że żyjemy. Kilka razy wysłaliśmy paczki ze smalcem, cebulą, cukrem itp. Najważniejsze było to, że doszła do nich wiadomość co się z nami dzieje. Pomogło to przetrwać czas do momentu kiedy w styczniu 1945 r. zbliżył się front walk do naszej okolicy. Przejście tego frontu odbyło się w Łyszkowicach w drugiej połowie stycznia 1945 r. Nastąpiło to szybko i bezboleśnie dla mieszkańców. Niemcy wycofywali się w popłochu i nie ewakuowali ludności cywilnej. Baliśmy się tego bo mama moja w tym właśnie czasie poważnie zachorowała i nie opuszczała łóżka. Mimo to zaraz po przejściu frontu, ok. 20 stycznia udałem się w towarzystwie innego wygnańca warszawskiego do Warszawy by sprawdzić czy nasze mieszkania ocalały. Udało nam się uprosić radzieckich żołnierzy by za cenę ½ l spirytusu podwieźli nas. Niestety, kiedy spirytus się skończył, a następnej butelki nie mieliśmy wyrzucono nas z samochodu w okolicy Żyrardowa gdzie przenocowaliśmy. Dalszą drogę mimo siarczystego mrozu i kiepskiej odzieży odbywaliśmy pieszo zatrzymując się na nocleg w Piastowie u rodziny mojej babci. Tam wyposażono nas w żywność i odzież. Do Warszawy dotarliśmy od strony Ochoty. Widok był straszny. Wszystkie domy wypalone lub zburzone. Nasz dom przy ul. Glogera był wypalonym szkieletem. Nic nie znalazłem w tych ruinach, żadnej pamiętki. Udaliśmy się dalej na Grochów do domu mego towarzysza tj. na ul. Chłopickiego niedaleko pl. Szembeka. Przejście przez Śródmieście było dużym problemem z uwagi na zaminowany teren. Szło się gęsiego po śladach na śniegu. Przez Wisłę na wysokości Saskiej Kępy przeszliśmy po lodzie. Mieszkanie przy ul. Chłopickiego było całe, puste i tylko częściowo ograbione. W budynku byli mieszkańcy. Mój towarzysz stwierdził, że będzie miał do czego wracać z rodziną. Wracając przeszliśmy przez zamrażającą Wisłę na wysokości Dworca Gdańskiego bo jak się dowiedzieliśmy z tego dworca mogły być uruchamiane jakieś towarowe pociągi.

Już nie pamiętam szczegółów powrotu do Łyszkowic gdzie zastałem mamę w lepszej formie. Pozwoliło to na zaplanowanie naszego wyjazdu z Łyszkowic do Włocławka gdzie mieszkała matka mojej mamy i jej siostra Janka z mężem Tadeuszem i dwojgiem dzieci Zbyszkim i Sławkiem.

Po dotarciu do Włocławka zamieszkaliśmy u babci Skupieńskiej. W lutym 1945 r. rozpocząłem naukę w Liceum im. M. Konopnickiej gdzie w przyspieszonym tempie zaliczyłem dwie klasy licealne w ciągu 1-go roku i otrzymałem świadectwo maturalne w dniu 17 lutego 1946 roku.

W międzyczasie zakończyła się wojna. Wyzwoleni z obozów jenieckich na terenie Niemiec mój ojciec i brat wstąpili do II Korpusu Armii gen. Andersa. Mama w tym czasie podjęła pracę jako dyplomowana nauczycielka w szkole powszechnej we Włocławku.

Bezpośrednio po maturze, w lutym 1946 r. – by nie tracić czasu na rozpoczęcie nowego roku akademickiego – zapisałem się na wydz. Matematyczno-Przyrodniczy Uniwersytetu Toruńskiego i do 15.07.1946 r. zaliczyłem dwa semestry. Ponieważ chciałem studiować na Politechnice musiałem zmienić uczelnię. Próbowałem „zacześcić” się najpierw w Gdańsku, następnie we Wrocławiu jednak brak źródeł utrzymania w tych miastach spowodował powrót do centralnej Polski, a ściślej mówiąc do Łodzi (gdzie zaistniały możliwości mieszkaniowe dzięki pomocy rodziny mojej matki). Ostatecznie zostałem przyjęty na Politechnikę Łódzką na Wydział Mechaniczny w dniu 6 listopada 1946 roku.

W lutym 1947r. po rozwiązaniu przez Anglików Armii gen. Andersa, ojciec mój i brat powrócili do Polski, do Włocławka gdzie mieszkała moja matka. Po paru tygodniach moja najbliższa rodzina tj. ojciec, mama i brat przenieśli się do Warszawy gdzie ojciec mój jako ceniony specjalista rozpoczął pracę w Ministerstwie Kolei i otrzymał przydział służbowego mieszkania. Idylla trwała krótko. Ojciec, po paru miesiącach pracy w MK, został aresztowany przez UB – wzięto Go z ulicy bez powiadomienia rodziny. Po bezskutecznych namowach do współpracy został zwolniony z zakazem pracy w Warszawie. Na szczęście cenionego fachowca potrzebowały Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego w Pruszkowie.

Ja od pierwszych miesięcy studiów w Politechnice Łódzkiej usamodzielniałem się. Najpierw przez dwa lata utrzymując się z korepetycji, a następnie od 1949 r., podjąłem pracę jako młodszy konstruktor w Biurze Projektowania Przemysłu Włókienniczego. Studia ukończyłem w lipcu 1952 r. uzyskując dyplom magistra inżyniera w zakresie budowy pojazdów szynowych. Miałem wówczas 25 lat, studia i sześć lat pracy zawodowej za sobą.

Po otrzymaniu nakazu pracy w sierpniu 1952 r. rozpocząłem pracę w Biurze Elektryfikacji Kolei w Warszawie.

Dalsze losy związane są z przebiegiem mojej pracy zawodowej po studiach i życiem osobistym, ale to już zupełnie inna historia.

Warszawa październik 2005 r. Andrzej Michał Zieliński

Ze zbiorów
Muzeum Powstania Warszawskiego